

Tylko tragedia może nas uratować. Jan Maciejewski w „Plusie Minusie” o książce Dariusza Karłowicza

Po dwóch światowych wojnach ludzkość spróbowała postawić wszystko na jedną kartę, na stabilność. Oblaskawić obywateli dobrobytem i odebrać im chęć do jakichkolwiek wywrotowych zachowań. Ale ludzie, których oduczono marzyć i pragnąć, potrafią już tylko wysuwać roszczenia i żądać rewanżu – pisze Jan Maciejewski w „Plusie Minusie” o książce Dariusza Karłowicza „Teby-Smoleńsk-Warszawa”.

Wystarczy, żeby stara normalność wróciła w pełnej krasie choć na kilka tygodni. Po paru pierwszych wizytach w restauracji i spacerach na świeżym powietrzu bez maseczek na twarzy, zachłystnięciu się dawną swobodą, szybko zmienilibyśmy zdanie na jej temat i przestali tak żarliwie za nią tęsknić.

Jesteśmy zbyt zajęci dostosowywaniem się do ogromnych zmian, jakim ulega nasze życie, żeby pamiętać wszechobecne pragnienie zmiany naprawdę wielkiej, która zmiecie stary świat z powierzchni ziemi. Dokładnie rok przed pojawieniem się w Europie wirusa SARS-CoV-2 jeden z francuskich instytutów badań opinii publicznej przeprowadził w kilku europejskich krajach sondaż, z którego wynikało, że 14 proc. Polaków, 20 proc. Niemców i aż 40 proc. Francuzów za jedyną drogę do poprawy sytuacji życiowej obywateli uznaje rewolucję.

Nad Sekwaną de facto wybuchła ona kilkanaście miesięcy wcześniej, na sztandarach niosąc żółte kamizelki. Ruch ten zrozumieć można tylko poprzez to, czego w nim nie było. Co z tego, że wybuchł z powodów ekonomicznych, skoro finansowe ustępstwa rządu nie przyniosły najmniejszego uśmierzania nastrojów. Nie wyłonił z siebie reprezentacji ani struktur. Nie był zainteresowany wejściem w świat polityki. Wszystko, co miał, to swój symbol, żółtą kamizelkę. I krzyk, który został przez niego wyrażony: zobaczcie nas, dostrzeżcie, nie chcemy być rozjechani przez system.

*Dlaczego niby historia nie
miałaby się powtórzyć i
rewolucja, która wybucha we
Francji, nie obejmie w końcu
większej części kontynentu?*

Skąd, częste wśród liberalnych elit, przypuszczenie, że żółte kamizelki to tylko wybryk, a nie początek trwałej tendencji? Dlaczego niby historia nie

miałaby się powtórzyć i rewolucja, która wybucha we Francji, nie obejmie w końcu większej części kontynentu? Przecież w zglobalizowanym świecie, a już na pewno w zachodniej, zjednoczonej Europie, panuje ten sam system. I ten sam lęk, że wcześniej czy później wpadnie się pod jego koła. Bez różnicy, jakimi oponami będą pokryte – spirali kredytowej, braku perspektyw, powszechnej od wielu lat świadomości, że naszym dzieciom będzie się żyło gorzej niż nam samym. A to wszystko działo się w ósmej dekadzie okresu bezprecedensowego spokoju i dobrobytu, którą ten sam system zapewniał. Spełnieniu odwiecznego pragnienia, z którego w ogóle wzięła się polityka – zapewnienia stabilności i pokoju. Skoro było tak dobrze, to dlaczego było tak źle?

Dług zaciągnięty u natury

W innych słowach, ale to samo pytanie, zadał w eseju „Reset czy rewolucja?” Dariusz Karłowicz. Tekst ten zamyka wydaną przed paroma miesiącami książkę „Teby-Warszawa-Smoleńsk. O złudzeniu nietragiczności polityki”. Jej podtytuł jest wprowadzeniem do odpowiedzi. Po tragediach dwóch wielkich wojen chcieliśmy zwyczajnie odpocząć. Ale nie przysiąc na chwilę przed udaniem się w dalszą drogę, tylko zatrzymać się raz na zawsze. W tym trwającym siedemdziesiąt kilka lat eksperymencie ludzkość po raz pierwszy próbowała postawić wszystko na jedną kartę, na stabilność. Wyłączyć albo zneutralizować każdą treść i impuls, które mogły wywoływać niepokój. Obłaskawić obywateli dobrobytem i odebrać im chęć do jakichkolwiek wywrotowych zachowań, czy choćby myśli, wpajając przekonanie, że będzie już tylko lepiej, wygodniej i zamożniej. Ale odłączając od politycznych organizmów wszystkie kanały, którymi płynęło ku nim napięcie, sprawiono, że stały się nie tylko martwe, ale i toksyczne.

Ludzie, których oduczono marzyć i pragnąć, potrafią już tylko wysuwać roszczenia i żądać rewanzu. Ponieważ ludzka natura, owszem, pragnie stabilności, ale tylko jako punktu wyjścia. Nie da się jej zmienić, uśmierzyć jej tragiczności. Gotowości i chęci do przekraczania samej siebie, szukania tego, co wyżej i dalej. Jedynym wmontowanym w ten system bezpiecznikiem było przekonanie o ciągłym i niezachwianym wzroście dobrobytu. Kiedy pojawiła się konieczność wyrzeczeń, zabrakło odpowiedzi na pytanie, w imię czego mielibyśmy właściwie się ich podejmować.

Nakładający żółte kamizelki, ruszający na uliczne rozróby są tymi samymi ludźmi, mają dokładnie tę samą naturę, co rycerze wyruszający na krucjaty czy marynarze kilka wieków później zaciągający się na statki płynące w nieznane. Demolujący sklepowe witryny budowali kiedyś katedry. Nasza natura jest ta sama. To warunki i sytuacje, w jakich przychodzi jej się realizować, ulegają zmianie. Kiedy znika transcendencja, musi pojawić się transgresja. Gdy przygoda znika z horyzontu, widać na nim już tylko bunt.

To nieprawda, że zachodni projekt się nie powiódł. On poniósł spektakularną klęskę. Minione siedemdziesiąt kilka lat było okresem zaciągania długu nie do spłacenia

Odpowiedzią – pisze Karłowicz – na absolutne skostnienie tego systemu mogła być tylko jego równie radykalna negacja. To nie daleko idących reform

chciał niemal co drugi Francuz dwa lata temu, tylko rewolucji. Zmiecienia istniejącego porządku z powierzchni ziemi. Pragnął kataklizmu, który pozwoli rozpocząć wszystko od początku. Odbywającemu wyrok dożywocia pozostaje już tylko czekanie na trzęsienie ziemi, które zburzy mury więzienia. A nuż uda się wyjść spod gruzów cało.

To nieprawda, że zachodni projekt się nie powiódł. On poniósł spektakularną klęskę. Minione siedemdziesiąt kilka lat było okresem zaciągania długu nie do spłacenia, nie tylko w dosłownym sensie. To nie banki są największym wierzycielem, ale nasza natura,

człowieczeństwo. Zostało ono uwięzione w systemie, który z góry stwierdzał, że nie będzie sobie zawracał głowy jego roszczeniami i potrzebami. Więcej, dołoży wszelkich starań, żeby w żaden sposób nie odbić w sobie – swym kształcie, strukturze, zasadach funkcjonowania – dramatu ludzkiej natury. Będzie od niej całkowicie niezależny i – tu padnie kluczowe słowo – neutralny. Dopiero z czasem okazało się, że ten termin-wytrych, który miał być gwarancją spokoju, stał się synonimem bezduszości. System budowano bowiem dla człowieka, który posiadał ciało, emocje, a nawet ambicje, ale za to był pozbawiony duszy. Tyle że człowiek taki nigdy nie istniał. Więc i system musiał się z czasem rozpaść.

Przesyłka do rąk własnych

To zresztą bardzo stara pułapka, w którą wpadł już bohater jednego z tekstów otwierających książkę Karłowicza, władający Tebami Kreon. Na samym początku „Antygony” staje przed wyzwaniem bardzo podobnym do tego, z jakim decydujący o dalszych losach Zachodu mierzyli się kilkadziesiąt lat temu – musi się zmierzyć z dziedzictwem rzezi. Skończyły się wreszcie długie, krwawe i bratobójcze wojny. Dla umęczonych nimi Tebańczyków nie ma wartości droższych nad jedność i spokój. Z gruzów wyłania się porządek, którego Kreon jest twarzą i gwarantem. Potrzeba mocnego fundamentu, który uchroni miasto przed ponownym pogrążeniem się w chaosie. Król widzi go w sobie, w rozumie władzy. Wszystko, co mieści się w polu jej rażenia – więzi rodzinne, przyjaźni, miłości i nakazy religii – ma zostać podporządkowane idei rozumnego ładu. Poskromione i wysłane na służbę Jej Wysokości Stabilizacji. Tragedia polega na tym, że lekarstwo okazało się trucizną, fundament – dynamitem.

*Wszystko, co mieści się w polu
rażenia władzy ma zostać
podporządkowane idei
rozumnego ładu. Poskromione
i wysłane na służbę Jej
Wysokości Stabilizacji.
Tragedia polega na tym, że
lekarstwo okazało się trucizną*

Na ołtarzu porządku
Kreon złożył ciało
zabitego w
bratobójczej walce
Polinejka. Człowieka,
który, gdyby żył, nie
posiadałby prawa do
pozostania w Tebach.
Reprezentował obóz
pokonanych, byłby
więc chodzącą
obrazą nowego ładu i

przypomnieniem zażegnanego konfliktu. Ale Kreon chce go wykluczyć nawet martwego, odmawiając mu prawa do godnego pochówku, a więc przebycia drogi ze świata żywych do Hadesu. W stabilizującym wszystko zapale zagnał się na obcy teren. Przekroczył granicę, której oświecony, racjonalny umysł nie był w stanie dostrzec. Opowieść o roszczeniach oświeconego rozumu płynnie przechodzi w historię o zaślepieniu i szaleństwie. „Bóg jakiś zaćmił mi rozum i zmylił! / Opętał mnie, omamił, zauroczył / I pchnął na drogę prowadzącą w przepaść” – przyznaje pod koniec tragedii złamany, choć formalnie wciąż wszechmocny, władca.

Kreon jest złowieszczym patronem polityki przekonanej o własnej samowystarczalności. Z kolei Antygona, zaciągająca na siebie wyrok śmierci spełnieniem obowiązku wobec boskich praw, pochowaniem brata, to – jak pisze Karłowicz – „agentka boskiego porządku”. Ktoś dużo więcej niż buntownik. Raczej poseł wysłany z wiadomością do rąk własnych politycznego rozumu. A wiadomo przecież, że podniesienie ręki na posła było kiedyś największą ze zbrodni. Zwłaszcza kiedy

spieszył on dostarczyć list z tamtego świata. I to z tego paragrafu, a nie za zapalczywość czy pychę, została wobec Kreona wymierzona tak surowa kara.

O czym była w tym liście mowa? Na pewno o tym, że są prawdy, których zwyczajnie nie da się poznać, a tym bardziej podporządkować idei Wielkiej Stabilizacji. Sens i racja ich istnienia polegają właśnie na tym, na pozostaniu w sferze tajemnic. O tym, że wiara w nie rodzi nadzieję, po porzuceniu której porządek staje się więzieniem, a ład wcześniej czy później osuwa się w chaos. Była tam też pewnie mowa o naturze polityki – że musi być dynamiczna, inaczej kosztuje i traci ludzką twarz. A żeby tę dynamikę odnaleźć, musi uznać swoją niewystarczalność. Złożyć hołd naturze człowieka. Jego nędzy i powołaniu, tragedii i nadziei. Dostrzec w nim stałą dyspozycję do grzechu i zła, a jednocześnie uznać, że jego istnienie ma cel nadprzyrodzony. Tylko w tym napięciu, między diabłem a aniołem, rodzi się prawdziwa Realpolitik. Oparta na twardej i niezmiennej rzeczywistości, jaką w świecie ludzi stanowi ich natura. Doskonale rozumieli to Ateńczycy, którzy po prezentacji „Antygony” nagrodzili jej autora godnością jednego z dziesięciu głównych strategów w wojnie przeciwko Samos.

*Religia wycofująca się z
polityki, unikająca za wszelką
cenę konfliktu ze światem,
dopuszcza się zdrady*

Sofokles sam był
poniekąd
buntownikiem,
posłańcem
niewygodnej nowiny.
Tworzył bowiem w
epoce, której bliższy

był duch Kreona niż Antygony. Tak zwane oświecenie ateńskie

zapoczątkowali sofiści, przodkowie dzisiejszych relatywistów, którzy głosili, że nie ma takiej sfery rzeczywistości, która byłaby stała i niezmienna. Wszystko, nie wyłączając religii i moralności, jest wyłącznie zależną od stosunków społecznych konwencją, „ustawą”. Że nie ma więc takiego obszaru, którego człowiek nie byłby w stanie poznać i podporządkować nakazom swojego rozumu. I tak to wolnomyślicielstwo jest zawsze echem lub zapowiedzią tyranii. Ta z kolei posiada w sobie nieodłączny pierwiastek szaleństwa. I taka jest właściwa puenta oraz przesłanie „Antygony”, wyrażone w zamykającej tragedię partii Chóru: „Błuźniercy i zuchwalcy są karani, / I to okrutnie, by chociaż na starość / Pojęli wartość rozumu i miary”. Miary i rozumu, które nie pozostaną na etapie intelektualnych dywagacji czy nagiej woli władcy, ale przejdą przez tygiel ludzkiej natury. Jego własnej tragedii.

Religia wycofująca się z polityki, unikająca za wszelką cenę konfliktu ze światem, dopuszcza się zdrady. Ale nie Boga, którego czcić może przecież równie dobrze poza agorą. To polityczność zostaje zdradzona. Jak pisze Karłowicz: „Odważa pójścia na konflikt, nawet tragiczny, jest więc metodą ratowania świata polityki, która często przebiera się w szaty rzeczywistości bliskiej ostatecznego rozwiązania wszystkich problemów. Zgoda na tę wizję jest oczywiście końcem religii, ale również – co istotne – końcem polityki, która musi upaść pod własnym ciężarem, tracąc zdolność samonaprawy”.

Kto ma, temu będzie dodane

Obietnica sanacji, autokorekty, samonaprawy systemu, w jakim przyszło nam żyć, zaczyna się od jakiegoś czasu pojawiać pod hasłem „Wielkiego Resetu”. Również Karłowicz, w tekście zamykającym jego książkę twierdzi, że jedyną alternatywą dla rewolucji, o której marzy coraz więcej obywateli zachodniego świata, stał się reset. Stolik, jeżeli nie chce zostać wywrócony, musi spróbować sam podskoczyć, strząsnąć kurz i śmieci zalegające na jego powierzchni. Tyle że jak to się czasem zdarza, jedno słowo może oznaczać dwie zupełnie różne rzeczy.

Celem resetu było przywrócenie utraconej równowagi – społecznej, własnościowej i politycznej. Uzyskanie ponownego balansu między sytuacją bogatych i ubogich

W filozofii i praktyce polityki znaczyło ono dotychczas głęboką korektę systemu, polegającą na zniesieniu tej części ciężarów, ograniczeń i nierówności, która uważana jest za

nadmierną. Celem resetu było przywrócenie utraconej równowagi – społecznej, własnościowej i politycznej. Uzyskanie ponownego balansu (nie utopijnej równości, ale pragmatycznej równowagi) między sytuacją bogatych i ubogich. W tym właśnie celu w starożytnych Mezopotamii, Egipcie i Grecji stworzono instytucję umorzenia długów. Operacji, od technicznej strony patrząc finansowej, ale pod względem celu i racji – wyłącznie politycznej. Było to działanie prewencyjne, chroniące porządek społeczny przed wstrząsami wynikającymi ze zbyt wielkiego wzrostu majątkowej nierówności. W państwie Hammurabiego procesowi anulowania długów nadano nawet rangę publicznego święta; organizowano obchody, podczas których dokonywało się uroczystego

niszczenia tabliczek z rejestrami dłużników. Formę resetu przybrały również, urastające wręcz do rangi mitycznych, reformy, jakie w Atenach przeprowadził Solon. Za każdym razem chodziło o to samo – ograniczenie niektórych praw, głównie prawa własności, tak by w dłuższej perspektywie mógł przetrwać cały system. Planowego cięcia, chwilowego zerwania, gwarantującego zachowanie ciągłości.

Pomysł ten był również dobrze znany narodowi wybranemu. Swoją wersję resetu nazywał on rokiem szabatowym. „Jeśli się tobie sprzeda brat twój, będzie niewolnikiem przez sześć lat. W siódmym roku wolnym go wypuścisz od siebie. Dasz mu coś z tego, w czym Pan, Bóg twój, tobie pobłogosławił. Przypomnisz sobie, żeś był niewolnikiem w ziemi egipskiej i wybawił cię Pan, Bóg twój”.

Gdy Chrystus odczytał w synagodze fragment księgi Izajasza: „Duch Pański posłał mnie, abym ubogim niósł dobrą nowinę, więźniom głosił wolność, a niewidomym przejrzenie; abym uciśnionych odsyłał wolnymi, abym obwoływał rok łaski od Pana”, po czym dodał: „Dziś spełniły się te słowa”, idea roku szabatowego, fragmentu Starego Przymierza, zaczęła się wypełniać w postaci przymierza nowego, o uniwersalnej treści. To przesłanie miało oczywiście sens religijny i nadprzyrodzony, ale dusza stała się też drzwiami, przez które rozgościło się ono między narodami całej ziemi. Być może tym należy tłumaczyć, dlaczego w cywilizacji chrześcijańskiej zaniknął tak zdroworozsądkowy przecież mechanizm resetu. Prawdopodobnie stał się po prostu niepotrzebny, ponieważ stojące za nim racje weszły w posiadanie innych, bardziej skutecznych narzędzi zapewniających ich realizację.

Jednym z praktycznych zastosowań idei „caritas” było uznanie za poważny grzech lichwy. Tego procederu, który odpowiada za tak niebotyczną skalę rozchwiania nierówności majątkowych w dzisiejszym, żyjącym na kredyt, świecie

Efektom ubocznym przenikania przez chrześcijaństwo wszystkich sfer ludzkiego życia było zapewnianie balansu między sytuacją biednych i bogatych. Kiedy idea „caritas”, miłości bliźniego, pozostawała w działaniu,

mechanizm resetu zwyczajnie przestał być potrzebny. Jednym z praktycznych zastosowań tej idei było uznanie za poważny grzech lichwy. Tego właśnie procederu, który odpowiada za tak niebotyczną skalę rozchwiania nierówności majątkowych w dzisiejszym, żyjącym na kredyt, świecie.

Model, w którym ponad prawami ludzkimi panują niezmiennie prawa boskie, okazywał się być również niezwykle pragmatyczny w zapewnianiu ciągłości politycznego ładu i porządku. „Tam gdzie brakuje nadrzędnej zasady – pisze Karłowicz – zmiana zasad szczegółowych towarzyszy zrozumiała obawa przed utratą punktów odniesienia. Pierwszeństwo praw Bożych wobec ludzkich decyduje więc o elastyczności struktur stanowionych. W modelach sekularnych sztywność reguł staje się gwarantem bezpieczeństwa”.

Wielki Reset wciąż pozostaje raczej hasłem wywoławczym dla entuzjazmu jednych i przerażenia drugich niż konkretnym programem. Na tyle jednak, na ile można wywnioskować ze słów gorących zwolenników jego przeprowadzenia, skutki będzie miał bardzo dalekie od tych, o które chodziło Hammurabiemu czy Solonowi. Zapowiada się raczej na realizację innej, znanej z Pisma Świętego reguły: „Kto ma, temu będzie dodane, i nadmiar mieć będzie. Kto zaś nie ma, temu zabiorą również to, co ma”.

Pozostaje nam czekanie na tragedię. Albo czerpanie z jej mądrości i przestroóg. Jak choćby tej, którą Kreon usłyszał od swego syna, Hajmona. Na stwierdzenie króla, że państwo należy do tego, kto rządzi, ten odparł: „Najlepiej rządziłbyś więc wyludnionym!”.

Jan Maciejewski

Recenzja ukazała się w „Plusie Minusie” nr 10/2021

Fragmenty „Antygony” Sofoklesa w przekładzie Antoniego Libery

Książka Dariusza Karłowicza „Teby-Smoleńsk-Warszawa. O złudzeniu nietragiczności polityki” dostępna jest w księgarni Teologii Politycznej